

Poczty do rusznikarza. Ten powiedział, że muszę mu dostarczyć sprężynę. Przypomniałem wtedy sobie, że na naszej kwaterze wisi zegar na ścianie. Udałem się po ten zegar i defilowałem przez cały Plac Napoleona z zegarem pod pachą. Nikogo to nie dziwiło. Pozostawiłem cały zegar w warsztacie i nagle wszystko się zatrzęsło. Posypał się tynk z sufitu, zrobiło się szaro. To w gruzy Poczty od strony ulicy Świętokrzyskiej uderzył pocisk z kolejowego działła. Od tego dnia rozpoczęło się systematyczne ostrzeliwanie Śródmieścia. Powróciłem do swoich. Na miejscu okazało się że niepotrzebnie chodziłem do rusznikarza, bo taką właśnie część do Mauzera ma w swoich zapasach „Skorobohaty”.

I znów placówka. Wchodziło się tam od ulicy Łuckiej. Bramą, przez podwórze do oficyny, gdzie była kwatera, dalej była znów brama i tą bramą wychodziło się na małe podwórko ograniczone murem. Za tym murem był teren „bezpieński”. Dalej ulica Grzybowska. Na prawo od tej bramy przechodziło się przez wybity w murze otwór na obszerne podwórze. Były tam parterowe, muryne składy, magazyny. Na wprost żelazna brama wychodząca na ulicę Żelazną. Na rogu Żelaznej i Grzybowskiej stał sobie niemiecki czołg i strzelał z cekaemów w Żelazną oraz w Grzybowską. Był unieruchomiony, ale wykorzystany jako bunkier. Przeszkadzał nam, ale jak go zniszczyć? Mieliśmy wprowadzić „Piata”, lecz trzeba by wyjść na ulicę, położyć się na chodniku naprzeciwko czołgu, wycelować w niego i wystrzelić. Oczywiście obsługa czołgu nie czekałaby na to i rozniosłaby na strzępy każdego śmiałka (wariata). Trzeba było znaleźć inny sposób. Pojawił się jakiś pan oficer. Powiedział, że montuje natarcie celem zniszczenia tego czołgu. Przyprowadził ze sobą jeszcze jakieś wojsko. Narobili dużo szumu, wydawał rozkazy, był bardzo pewny siebie. Poszło natarcie. Od razu odezwał się cekaem z czołgu, do niego dołączyły się inne z pobliskich stanowisk niemieckich. Nagle nastąpiły jakieś wybuchy. Słychać było jęk rannych. Natarcie od razu się załamało. Na Żelaznej były miny, założone przez jakieś nasze oddziały. Nikt tego nie brał pod uwagę. Z trudem udało się pościągać rannych. Niemcy się rozwścieczyli. Strzelali ze wszystkich stron. Zrobiło się szaro od kurzu. Pan oficer gdzieś się zapodział. Nikt go już więcej nie widział. Byliśmy tam kilka dni. Pod nami były piwnice. Nie tak obszerne jak u Habermuscha. Prowadziły w kierunku pozycji nieprzyjacielskich. Tam na dole stały beczki a w nich pasta, która okazała się doskonałym pokarmem. Było to nadzienie do czekolady dla niemieckich lotników. Ponadto była kiszona kapusta, po którą przychodzili również Ukraińcy. Spotkania przy kapuście odbywały się bez zakłóceń. Nakładano sobie kapustę do kubekka i każdy odchodził w swoją stronę.

Znów ulica Grzybowska. Niewiele się zmieniło. Te same barykady, ta sama kwatera, te same stanowiska bojowe za umocnieniami z książek. Nikt tego nie zmieniał. Każdy widocznie uważał, że jest tu gościem, tymczasowo, na jedną lub

dwie doby. Nie warto było się trudzić. I tak już zostało. Był już pierwszy wrzesień. Przyszliśmy wszyscy. Cała kompania. Zajęliśmy kilka stanowisk w domach przy ulicy Rynkowej 1 i 2. Urządziliśmy na prawym skraju barykady przy Rynkowej bunkier, w którym ulokowaliśmy nasz erkaem. Natomiast na drugim krańcu naszej obrony, pod numerami Grzybowska 26 i 28 (za barykadą), wysunięte do przodu w stronę nieprzyjaciela pozycje w prowizorycznych bunkrach, zajmowali koledzy z „Chrobry II”. Było ich pięciu. Były z nimi dwie śliczne sanitariuszki. O nich chyba wszyscy zapomnieli. Byli bez amunicji, bez jedzenia, prawie bez broni. Zaopiekowaliśmy się nimi. Jednak prawie każdego dnia trzeba było na nowo „zdobywać”, rzucając granaty i podchodząc ostrożnie, te ich bunkry. Nie można im się dziwić, że w nocy nie wytrzymywali nerwowo i opuszczali swoje stanowiska. Mieli przecież tylko jeden karabin i trochę granatów! A dwie pozycje do obrony! Kiedyś nocą, gdy miałem służbę i musiałem obchodzić stanowiska, aby sprawdzić czy ktoś nie śpi, szukałem ich nadaremnie. Zaszedłem za daleko. Usłyszałem rozmowy w języku niemieckim za swoimi plecami. Okazało się, że poszedłem między ich bunkrami za niemieckie pozycje. Co robić w takiej sytuacji? Dotąd szedłem beztrudno. Teraz okazało się, że deptę po szkle, że potykam się o jakieś rynny. Robię moimi podkutymi butami tyle szumu, że zagłuszam ich rozmowy. Spociłem się okropnie. Stwierdziłem, że się kompletnie zagubiłem. Byłem tu pierwszy raz. Po ciemku wszystko jest do siebie podobne, bramy, domy. Wystrzelono rakietę. Jej blask oświecił wprowadzić, ale na krótko. Rakietą pada gdzieś za murami, a tutaj robi się jeszcze ciemniej niż było poprzednio. Z trudem odnalazłem drogę powrotną. Po powrocie na kwaterę musiałem odpocząć. Poszliśmy ich szukać po różnych mieszkaniach, ale znaleźli się dopiero rano. Stali bezradni, bezbronni, czy można było na nich się gniewać?

Po przeciwnej stronie tych fatalnych numerów 26 i 28 była fabryka Jarnuszkiewicza, zupełnie nie obsadzona przez nikogo! Dalej, teren niczyj. Nie było tam Niemców, ani naszych. Gdzieś w tamtej stronie, za murami był Habermusch. Mieliśmy z nimi połączenie telefoniczne. Z wieży straży ogniowej na Chłodnej bił niemiecki cekaem prosto w barykadę zamykającą Grzybowską przy fabryce Jarnuszkiewicza. Barykada nie była stale obsadzona, bo nie było potrzeby. Niemcy trzymali się na szczęście z daleka od tego rejonu, który przysparzał nam najwięcej kłopotu, bo jak wejść? W jaki sposób zatrzymać ich natarcie? Dalszy ciąg Grzybowskiej jest nie obsadzony i tamtędy, tą ogromną luką w naszym systemie obrony (obecnie Marchlewskiego) mogą wejść do Śródmieścia. Dojść do Alej Jerozolimskich. Na razie nie mieli na to ochoty. Tylko z daleka, od strony ulicy Chłodnej, każdego dnia z niewielkimi przerwami, jak pracowity i cierpliwy rzemieślnik, strzelał czołg. Wciąż w to samo miejsce! W narożnik fabryki Jarnuszkiewicza. Rozwalał mury, waliły się piętra, a on strzelał dalej! Zasypywał